

**A
LKO
HO LIK**



AUTOBIOGRAFICZNA OPowieść o ŻYCIU, PICIU, UZALEŻNIENIU I WYZWOLENIU.
CAŁA PRAWDA I... HISTORII CIĄG DAJSZY

WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2018
© Meszuga, 2018

Wydanie trzecie, poprawione i uzupełnione

Korekta: Dariusz Godoś, Sylwia Łopatecka
Projekt okładki: Justyna Tarkowska (www.milewidziane.pl)
Skład: Dawid Adrjanczyk

ISBN 978-83-277-2023-8

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

Druk: EKODRUK • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze iBOOK White 70 g vol. 1.6
dostarczonym przez IGEPa Polska Sp. z o.o.

Dziękuję Ewie, Joannie, Katarzynie, paru Markom oraz kilkunastu innym podopiecznym i alkoholikom płci obojga. Z Wami ten świat jest zdecydowanie lepszym miejscem. To dzięki Wam wszystkim codziennie czuję się zobowiązany realizować w praktyce, we własnym życiu, wszystkie te niezwykle mądre rady i wskazówki, które ode mnie słyszycie.

*Tragedią naszego życia jest to, jak głęboko musimy cierpieć,
zanim nauczymy się prostych prawd, według których trzeba żyć.*

„Anonimowi Alkoholicy wkraczają w dojrzałość”

WSTĘP DO NOWEGO WYDANIA

Pierwszego „Alkoholika” pisałem głównie w latach 2009–2010. Dawno? Niedawno? Czas zmienia ludzi, to prawda, ale życiowe doświadczenia chyba jednak bardziej. W każdym razie czas to dobry, choć wymagający nauczyciel. W jednym ze środowisk, w których się obracam (Anonimowych Alkoholików), popularne jest określenie skazani na rozwój. Zgadzam się z nim, choć dzisiaj dodałbym, że nie wszyscy alkoholicy na ten rozwój są skazani. Nie wiem jednak, dlaczego jedni z nas mają tak właśnie, inni natomiast bez tego nieustającego rozwoju świetnie sobie radzą. W każdym razie ja do tych skazańców należę, jednak nie dlatego, że tak postanowiłem, że mi się zachciało – w moim życiu nieustanny rozwój okazał się niezbędny, bo zauważyłem, że bez niego po prostu się cofam, a nie chciałbym się cofnąć do punktu wyjścia. Bez względu na to, czy oznaczałoby to powrót do destrukcyjnego, kasacyjnego picia, czy tylko (tylko?!) do tych trzech–czterech lat, kiedy wprawdzie nie używałem już alkoholu, ale sobie i innym, zwłaszcza rodzinie, bliskim, robiłem z życia piekło.

Nikt z nas nie wkracza w dojrzałość duchową z własnej woli lub w wyniku całkowicie wolnego wyboru.*

* Richard Rohr, „Spadać w górę. Duchowość na obie połowy życia”, Wydawnictwo WAM, Kraków 2013, s. 16.

Dla skazanego na rozwój alkoholika dekada to szmat czasu, na pewno znacznie więcej niż dekada dla kogoś zdrowego. W każdym razie w moim przypadku był to okres zaangażowanej aktywności, znaczących zmian; czas należący do puli kilkunastu najlepszych dotąd lat w życiu – przede wszystkim dlatego, że byłem... hm... bywałem przydatny. Ale nie tylko.

Kiedy piszę o zmianach, winien jestem wyjaśnienie. Mieszkam w tym samym skromnym, ciasnym mieszkaniu, w którym upijałem się do nieprzytomności prawie dwadzieścia lat temu, w tym samym mieście, za oknem mam ten sam widok; od dawna uczestniczę w spotkaniach (zwanych u nas tradycyjnie mityngami) tych samych dwóch, trzech grup AA... Pozornie nic się u mnie nie zmieniło albo bardzo niewiele, jakieś detale może, ale dysponując nową parą duchowych okularów, żyję wprawdzie w tym samym albo bardzo podobnym otoczeniu, ale w wyrażnie i zdecydowanie innej już rzeczywistości.

Nie zmieniły się, rzecz jasna, fakty z mojej przeszłości, jednak w przypadku wielu z nich znaczącej zmianie uległa moja ich ocena, a wnioski wynikające z interpretacji wydarzeń, postaw, zachowań, decyzji, wyborów, ewoluowały z czasem, i dlatego zmiany w nowej wersji „Alkoholika” nie polegają jedynie na dopisaniu rozdziału „Ciąg dalszy nastąpił”.

PROLOG

– Czy jest ktoś lub coś, za co chętnie oddałbyś życie? Czy istnieje coś takiego, za co nie żał byłoby ci umierać? – Pytania zawisły w martwej ciszy, a mnie ogarnęła nagle fala wspomnień...

O tak, przez prawie trzydzieści lat, bez chwili zastanowienia, potrafiłbym odpowiedzieć na takie pytania twierdząco, wyobrażając sobie ochoczo rozmaite okoliczności, sytuacje oraz ludzi, za których warto byłoby oddać życie. Zwłaszcza w jakiś wyjątkowo spektakularny, heroiczny, no i koniecznie romantyczny sposób. Jednak prawdziwy problem polegał, zdaje się, na tym, że przez wszystkie te lata jakoś nie potrafiłem znaleźć ani jednego dobrego powodu, dla którego warto byłoby żyć...

Wtedy się zakochałem.

„Alkoholik” to historia wielkiej miłości; nieodwzajemnionej, zdradzonej, tragicznej i przeklętej. W alkoholu zakochałem się, będąc mężczyzną trzydziestoletnim, nie była to więc miłość od pierwszego wejrzenia, jednak nie mam najmniejszej wątpliwości, że szukałem jej, w pewnym sensie, od wczesnego dzieciństwa. To także historia powrotu do trzeźwości oraz osobistego rozwoju – duchowego i emocjonalnego.

Ludziom, którzy z alkoholizmem, czyli chorobą alkoholową, uzależnieniem, nigdy się bezpośrednio nie zetknęli, może się to wydać nieprawdopodobne, ale wbrew pozorom i popularnym przekonaniom problemem alkoholika nie jest alkohol. Cóż więc nim jest? „Alkoholik” to próba znalezienia odpowiedzi na to pytanie. W moim przypadku próba, jak sądzę, udana. Szukałem pewnego wzoru, schematu, ciągu przyczyn i skutków – i znalazłem go.

Posługując się nieco wisielczym humorem, powiedziałbym, że „Alkoholik” to swego rodzaju instrukcja, jak zostać alkoholikiem, to znaczy, kiedy i w jakich okolicznościach dokonywać złych wyborów i błędnych decyzji, które w konsekwencji mogą doprowadzić do uzależnienia się od alkoholu albo jakiejś innej substancji zmieniającej świadomość. A poważnie – jest to przestroga i szansa. Jeśli Czytelnik zorientuje się, że w swoim życiu podąża moimi śladami, to może będzie miał jeszcze szansę zawrócić. Zawrócić, zanim straci dokładnie wszystko, zanim sięgnie dna, zanim piękny romans zamieni się w koszmarną tragedię, z której wszyscy wychodzą przegrani. Oczywiście ci, którzy przeżyją, bo nie wszyscy będą mieli tyle szczęścia. Może to być także szansa dla członków rodziny, współpracowników, kolegów, którzy dzięki lekturze będą mogli zorientować się szybciej, prędzej rozpoznać niepokojące objawy u kogoś bliskiego.

W Kanie Galilejskiej, podczas wesela, Jezus zamienił wodę w wino (J 2,11). Ja byłem lepszym *magikiem*. Całymi latami, z morderczą skutecznością, tysiące razy zamieniałem w alkohol prawie wszystko, bo przecież nie tylko dobra tak przyziemne jak pieniądze, firmy czy stanowiska, ale także szacunek, godność, zaufanie, a nawet miłość dziecka i własne sumienie. *Cudotwórcą* być przestałem 15 stycznia 1999 roku.

CZĘŚĆ PIERWSZA

DZIECIŃSTWO – MOZAIKA OBRAZKÓW Z DAWNYCH CZASÓW

Historię tę rozpoczynam od wprowadzenia w tło i miejsce akcji oraz zaznajomienia z paroma ważniejszymi *dramatis personae* za pomocą kilkunastu obrazków, migawek z mniej lub bardziej odległej przeszłości. Możliwe, taką mam nadzieję, że ułatwią one zrozumienie tego, co, jak i dlaczego wydarzyło się w okresie późniejszym, a także co dzieje się obecnie.

Gromada przodków – obrazek 001

Moi przodkowie potrafili smakować milczenie. No, nie wszyscy, rzecz jasna. Tylko ci, których ojczyzną była Nizina Wschodnioeuropejska i którzy po opuszczeniu ojczystych stron do końca życia tęsknili za burzanami porastającymi stromy brzeg Wołgi. Potrafili też pić na umór, nie zakąszając przy pierwszym litrze, ale to inna, choć nie mniej ważna historia.

Ta ćwiartka krwi rosyjskiej w moich żyłach powodowała, że bardzo dobrze rozumiałem, a nawet czułem, że smakowanie milczenia nie ma zupełnie nic wspólnego z pełną skrępowania ciszą, która zapada czasem w gronie osób niezbyt wyrobionych towarzysko. Milczenie – właściwie smakowane – zbliża ludzi chyba nawet bardziej niż seks lub wspólna cela.

W chwilach wolnych od smakowania milczenia lub picia, albo i jednego, i drugiego, bo smakowanie milczenia zupełnie nie wyklucza wspólnego upijania się, może nawet wprost przeciwnie, byli ci moi przodkowie otwarci, choć może niekoniecznie na nowości, wylewni aż do bólu i życzliwi, z tym że nie było komu.

Brali też udział w wielkiej wojnie. Teraz wydaje się, że po stronie moralnie czystszej – jeśli coś takiego można powiedzieć o jakiegokolwiek stronie w jakiegokolwiek wojnie – jednak ważniejsze z praktycznego punktu widzenia było to, że po stronie przegranej. Mój dziadek miał szczęście: wprowadził podczas przekradania się przez linie frontu i granice zgubił gdzieś żonę, ale ostatecznie jakoś się do Polski przedostał. Większość tyle fartu nie miała. Żona też się już nigdy nie odnalazła, ale... znalazła się nowa.

Niewielka część rodziny przywędrowała z północnej, niemieckojęzycznej części Lotaryngii. Jakiś pra... pra... potrafił obsługiwać i naprawiać maszyny dziewiarskie. W tym czasie w Łodzi przemysł włókienniczy rozwijał się dynamicznie, a nawet lawinowo, nic więc dziwnego, że dla fachowca miasto to mogło wydawać się ziemią obiecaną – warunki pracy i płacy w nowych łódzkich fabrykach były o niebo lepsze niż w starych zakładach miejscowych.

Ci przywieźli z sobą i dorzucili do wspólnego kotła konformizm, dyscyplinę, odpowiedzialność, rzetelność, specyficzne i nie przez wszystkich rozumiane poczucie humoru oraz organiczną, zdaje się, niezdolność do działań spontanicznych i bez trosk zabawy.

Wreszcie posiadacze pakietu większościowego, który oceniam na jakieś pięćdziesiąt procent – Polacy z centralnej części kraju. W zamierzchłej, XVIII- i XIX-wiecznej przeszłości mającej jakieś majątki z tysiącami hektarów, własne wsie, a zwłaszcza jedna, której nazwa przypomina moje nazwisko.